



Alicja Faron-Przybylska
ps. Iwa

Obrazy z Powstania Warszawskiego¹

Byłam małą, chudą dziewczynką, z wielkim zapałem i miłością do Polski. Powstanie zastało mnie na Żoliborzu. Jakiś miesiąc przed jego wybuchem wróciliśmy do Warszawy. Wtedy zorientowałam się, że moi koledzy o czymś rozmawiają i starają się ukryć przede mną coś, czego ja nie wiem. Na wsi, do której wywiozła nas mama w obawie o nasze życie i gdzie dotąd przebywaaliśmy, nie było partyzantki. W końcu zorientowałam się (o czym zresztą koledzy mi powiedzieli), że szykuje się powstanie. Usłyszałam od nich, że się nie damy, że wojska radzieckie są po drugiej stronie, na prawym brzegu Wisły, a to oznacza, że powstanie skończy się po 3-4 dniach.

Euforia była ogromna. Ja od razu, z moją o 2 lata młodszą siostrą i z jej przyjaciółką Stefką „Rudą Marchewką”, zgłosiłyśmy się do punktu sanitarnego. I tam nas przyjęli. Z tym, że moja 12-letnia siostra tylko nam pomagała, a my we dwie wykonywałyśmy różne prace.

Większe piwnice zostały wydzielone na punkty sanitarne, wyposażone w łóżka. Wszystkim zawiadowała siostra Miła. Kierownikiem tego punktu sanitarnego był student medycyny o pseudonimie „Doktor Tampon”. On zresztą po wojnie, już jako profesor Akademii Medycznej w Warszawie, rozpoznał mnie, kiedy do niego poszłam, i wystawił mi zaświadczenie, na podstawie którego zostałam przyjęta do Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Powstanie to była ogromna radość. Ludzie się ściskali, całowali, wiele sobie obiecywali i czekali, co przyniesie jutro. Jutro będzie lepsze! Przecież mamy ich za Wisłą, oni nam pomogą. Nie pomogli. Mnie było strasznie przykro. Nie

¹ Opracowano na podstawie rozmowy przeprowadzonej z Alicją Faron-Przybylską przez red. Annę Rembas dla Radia Gdańsk i emitowanej w przeddzień 70. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego.

mogłam zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Ale też do końca nie zdawałam sobie sprawy z zaistniałej sytuacji.

To pięknie brzmi: brałam udział w Powstaniu, pomagałam powstańcom. Po latach mój wnuk spytał: „Babciu, a ilu ty Niemców zastrzeliłaś?” Odpowiedziałam mu, że nie mogłam strzelać, bo byłam za mała. Nie chciałam mu mówić, że wynosiłam nocniki. Bo ktoś musiał to robić. A wojna to nie tylko strzelanina, „Chłopcy, bagnet na broń!”, to także wynoszenie nocników. Chłopcy leżeli – jeden bez nogi, drugi ranny. Musieli się wysuszać.

My byłyśmy sanitariuszkami i jednocześnie łączniczkami. Bo ja chodziłam z meldunkami. Zaprzyjaźniłam się wówczas z Aleksandrem Ścibor-Rylskim, który pracował w łączności. Miał 17 lat, był taki piękny! Moja mama mówiła o nim: mały rycerz.

Po wojnie Aleksander Ścibor-Rylski stał się znany jako pisarz i scenarzysta filmowy. Wśród kilku innych tytułów napisał książkę „Pierścionek z końskiego włosia”. Ten pierścionek w czasie powstania otrzymał ode mnie. Ja natomiast dostałam go od ojca kolegi, który uciekł z obozu. A ponieważ byłam zakochana w Rylskim, to jemu oddałam ten pierścionek. Kiedy książka ukazała się w księgarniach, natychmiast ją kupiłam. Niestety, nie znalazłam ani słowa na ten temat – ani o mnie, ani o pierścionku. Niemniej spotykaliśmy się z nim i jego drugą żoną (pierwszej nie znaliśmy), oboje odwiedzali nas w Sopocie i spędzaliśmy przyjemnie czas.

Niezależnie od wszystkiego w Powstaniu przeżyłam swoją pierwszą miłość. Zastanawiam się jednak, czy ja byłam wówczas tego świadoma. Chyba tak. Poszłam kiedyś z nim do klasztoru Sióstr Zmartwychwstank. Musieliśmy iść dosyć dużym, długim okopem. On niósł duży bęben z nawiniętym kablem, który miał gdzieś zainstalować. Jak już wracaliśmy (a nad naszymi głowami ciągle leciały pociski), on mnie pocałował w policzek. Potem to ja już nic nie wiem, czy było bombardowanie, czy strzały, czy ja umarłam, czy przeżyłam. Wróciłam zupełnie nieprzytomna.

Powstanie przypało na wiek mojej dużej wrażliwości. Czternastoletnie dziewczyny są bardzo wrażliwe. Te przeżycia do dzisiaj odbijają się na mnie.

Najgorszy był głód. Głód był taki, że robiło się ciemno w oczach. Myśmy w tych punktach sanitarnych przynosiły rannym żołnierzom kaszę, którą gotowały starsze od nas panie, nasze matki. Pamiętam, jak niosłam taką kaszę w garnuszku i jej zapach bił w nozdrza, to mnie zrobiło się słabo. Bałam się, że się przewrócę, ale nie umoczyłam nawet palca w tej kaszy, choć miałam ochotę.

Zastanawiam się czasem, jak myśmy to przeżyły. Ratowały nas trochę działki, które były za naszą kolonią. Rosły tam kartofle, pomidory, jakieś pietruszki. Jednak dojście do tych działek było bardzo niebezpieczne, bo tam było pole. Myśmy byli w obrębie placu Wilsona na Żoliborzu, na ulicach

Suzina i Sierpeckiej, gdzie jest teatr, a dalej to już rozciągały się pola, które ludzie zaanektowali na działki, bo przecież trzeba było coś jeść. Teraz my tam chodziliśmy, mimo że wiele osób zginęło, wśród nich mój kolega Tadzio a także piękny chłopiec o pseudonimie „Garbaty”. Zobaczyłam go, gdy wróciłam, miał tylko dziurkę w skroni, ale już nie żył. To było straszne!

Były takie momenty, których nie zapomnę nigdy. Rodzina: starsi rodzice i dwóch synów. Jeden z nich był chory na gruźlicę. Podczas naszej ewakuacji nikt nie mógł go ani wynieść, ani wywieźć. I on został. Ciągle o tym myślałam: „Boże, co ten człowiek zrobi? Może ktoś się nim zajął?” Bo byli ludzie, którzy zostawali. Tego nie można zapomnieć i to chyba wpływa na nasze dalsze losy.

Były miłości, przyjaźnie, śluby, ale to mnie nie dotyczyło. Ale były na przykład zespoły muzyczne. I tak, kiedy przychodził do nas jeden zespół, myśmy szaleli z radości. W zespole tym było kilka osób i dyrygent, który śpiewał i dyrygował. Oni nie mieli żadnych instrumentów, ale doskonale naśladowali ich brzmienie. Ja do końca życia nie zapomnę, jakie to było wspaniałe, radosne przeżycie.

Proszę sobie wyobrazić, że kiedy nasi żołnierze łapali Niemców i ja widziałam jednego Niemca, który siedział i obierał kartofle, a był taki strasznie smutny, to mnie było go szkoda, bo wiedziałam, że go pewnie zastrzelą. Nie wiem, może to był drań, ale budził litość i sprawiał wrażenie, że jest bardzo pokrzywdzony.

Zdarzały się wieczory, które były bardzo spokojne. Pierwszy miesiąc Powstania, sierpień, na Żoliborzu był spokojny. Były też bombardowania, ale dało się jakoś przejść ulicą. Przychodzili do nas ze Starówki – strasznie biedni, chorzy, pokaleczeni. I z Puszczy Kampinoskiej. Oczywiście wszyscy wszystkim pomagali. Ja nie widziałam, żeby ktoś komuś odmówił pomocy. A byłam wszędzie, bo musiałam być i chciałam. Byłam zachwycona tym i mówiłam: „Tacy dobrzy są ci ludzie, Mamusiu, tacy dobrzy”. W odpowiedzi słyszałam od Mamy: „Bo tak trzeba”. Moja Mama sama zresztą, jak się Powstanie zaczęło, natychmiast ustąpiła nasze mieszkanie dowództwu. Myśmy mieli mieszkanie na parterze, dość duże i z telefonem. Potem już ten telefon nie działał. Gdzie się przenieśliśmy? Do piwnicy, do szczurów. A tam bardzo przygnębiająco działały na mnie starsze kobiety, które urządziły w piwnicach kapliczki. Każdy się mógł przy nich modlić, ale one całymi dniami odmawiały różaniec i takimi strasznymi głosami śpiewały pieśni nabożne. To mnie przygnębiało bardziej niż szczury chodzące po rurach.

Przyszli Niemcy, z piwnicy widziałam te ich buty z cholewami. Wiedziałam, że zaraz przyjdą po nas i wyprowadzą z Warszawy do obozu, bo tak robili. Jednak większym strachem napawali nas Ukraińcy z RONA², którzy przystąpili

² Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armija – Rosyjska Wyzwoleńcza Armia Ludowa

do Niemców. Na Żoliborzu, dwie ulice od nas, był nowy, piękny i solidnie zbudowany budynek Straży Pożarnej. I to w nim Ukraińcy się zatrzymali i wyróżnili nożami wszystkich mieszkańców. A to było blisko nas. Mówiło się: „No, teraz nasza kolej będzie”. Ale, paradoksalnie, mieliśmy szczęście, że dostaliśmy się Niemcom, a nie Ukraińcom. Bo Niemcy nie zabijali ot, tak sobie!

Przechodziliśmy przez gmach ZUS-u, który był bombardowany. Tam był jakiś szpital. Oparty o płot dziedzińca siedział młody człowiek, cały siny, rękami podtrzymywał swoje jelita, nic nie mówił.

A potem wyprowadzili nas do kościoła na Woli, gdzie przenocowaliśmy. Ktoś zorganizował jakąś zupę; niestety, moja mama nie miała garnka ani dzbanka, więc nie dostałyśmy tej zupy. Z kościoła przeszliśmy do obozu w Pruszkowie. To było coś strasznego! Tam były hale kolejowe, betonowe podłogi i gdzieniegdzie leżały podkłady kolejowe. Nasza mama dopadła taki podkład, położyła się na nim, a my położyłyśmy się na niej. Tatę zabrali. *Bandit!* i zabrali. Zostałyśmy same.

To było straszne! Wrzesień się skończył, były pierwsze dni października. Potworna niewygoda, zimna podłoga i ten brud, i te wszy. Nie wiem, jak to się działo, że jak ktoś umarł, to nagle robił się szary, cały pokryty wszami, które go natychmiast obłaziły.

*

Po samym Powstaniu i po wojnie to była nauka, były zabawy, młodość i miłość. Im więcej lat mijało, tym bardziej prześladowały mnie i nadal prześladowają nocne koszmary związane z tamtymi przeżyciami. Na przykład: ja się strasznie brzydziłam brudu. Brakowało wody, była tylko w jednym miejscu i to niebezpiecznym. Wodę trzeba było oszczędzać. Nie było toalet i żadnej kanalizacji. I ten brud, i te fekalia, które ciągle pod nogami czy w jakichś ubikacjach się znajdowały, okropnie mnie brzydziły. To mi się śni, to są moje takie straszne sny. Nie byłam ranna, ale zostałam zraniona...

Te zrywy patriotyczne pozwoliły Polsce być Polską. A gdybyśmy tych powstań my, Polacy nie wywoływali czy nie przystępowali do nich, to pewnie by już nas nie było. Bylibyśmy w Rosji albo w Niemczech.

Nie znam się na polityce aż tak bardzo, ale zawsze wiedziałam, że to jest wielka rzecz, że my się bronimy, że my się nie damy i że na tym się nie skończy, że muszą wrócić czasy niepodległości. Wróciły późno dosyć. I byłam szczęśliwa, że brałam w tym udział. Jak już mówiłam wcześniej, nie były to strzelaniny, jakieś bohaterские czyny, ale swój udział miałam.

Na przykład wieczorami, jak już obsłużyłyśmy naszych biednych rannych, bo trzeba było często im zmieniać opatrunki, a nie było personelu wykwalifikowanego, to potem siadałyśmy i śpiewałyśmy różne piosenki – i z przedszkola,

i z kabaretów, które śpiewali nasi rodzice. A nasi pacjenci byli tym zachwyceni. Wieczorem mówili do nas: „Pośpiewajcie co drobniejsze”.

Ja odbierałam zawsze tak samo Powstanie Warszawskie, że był to wielki zryw narodowy, że Polacy są bohaterami, że Niemcy nas skrzywdzili, a Rosjanie nam dołożyli. Mimo to nie wyobrażałam sobie, jak Polska mogłaby istnieć bez tych wszystkich strasznych wydarzeń. I nigdy nie zmieniałam zdania ani nie żałowałam, że wzięłam w tym udział. Byłam dumna, byłam szczęśliwa, i jestem szczęśliwa z tego powodu. Może to nawet zabrzmieć trochę sztucznie, ktoś może pomyśleć, że się chwale, ale przecież długie lata po wojnie nie można było się tym chwalić, a nawet mówić, poza najbliższym otoczeniem. Bo w czasach stalinowskich przyznać się do udziału w Powstaniu Warszawskim, to wiadomo, co się działo: tych ludzi zamykano. Sama znam kilkanaście takich osób.

Na pojawiające się opinie, czy warto było tyle ofiar, taki kwiat narodu poświęcić, odpowiadam: Gdyby tego Powstania nie było, gdyby ci ludzie nie zostali poświęceni, nie zginęli – nie wyobrażam sobie, co by było. I tak by nas wytłukli, jak nie Rosjanie, to Niemcy. Tylko bez walki. I dlatego zawsze podziwiałam powstanie w Getcie, które widziałam ze swoich okien. Ci Żydzi w ostatnim momencie się zerwali i podjęli nierówną walkę. Wcześniej nie rozumiałam, dlaczego oni dają się poniżać, wybijać, maltretować, umierają z głodu i nic nie robią. Kiedy wybuchło nasze Powstanie, powiedziałam, że może nam się uda. Nie udało się. Niemniej nigdy tego nie żałowałam.

Co roku zastanawiam się, jakie będą obchody rocznicowe. Czy będą gwizdać? Kto to jest, kto gwizdże? A mimo to zawsze jestem wzruszona. I ciągle nowe fragmenty tego dramatu i nie tylko dramatu – tego wielkiego uczucia związanego z Powstaniem przychodzą z powrotem do mnie.